

# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



## Jesienią.

O słońca zachodzie, zwiesiwszy swe czoła,  
W przeczuciu złowrogiem drżą drzewa,  
Wiatr świszczy i jęczy żałośnie dokoła,  
I liśćmi żółkłemi powiewa...

Na pole, do boru pobiegnę, matuchno!  
Nazbieram mchu, wrzосу, gałęzi,  
Nim ziemię śnieg biały zaściele równiuchno,  
I zima nas w chacie uwięzi..

I ścianki chateczki kochanej otulę,  
Mchem zewnątrz i wrzosem obłożę,  
Jak ty mnie, tak ja ją osłonię też czule,  
Niech ciepło w zimowej ma porze.

Zaś w izbie, pod komin chróściku naniosę,  
Niech sobie schnie w wiązkach dowoli —  
Czas wilgoć wyciągnie zeń wszystką i rosę,  
I prędzej zapłonąć pozwoli.

I ławę na środek wysunę dębową,  
Byś mogła przy ogniu sięść blisko —  
Zobaczysz, jak będzie ci błogo i zdrowo  
Na jasne spoglądać ognisko!

Ty szeptać mi będziesz powieści i baśnie,  
Ja słuchać cię będę ciekawie —  
I zawsze, jak tylko ogieniek przygaśnie,  
Ja zaraz w kominku poprawię...

Wiktor Dzierżanowski.



ZOFIA BUKOWIECKA.

## Z dziejów cywilizacji.

### O pieniądzech.

**M**idas, król Frygii, jak mówi podanie greckie, oddał wielką przysługę bożkowi Dyonizosowi, godną też bożka miał dostać zapłatę.

— Proś o co chcesz, a otrzymasz wszystko, czego żadasz — wyrzekł wielki Dyonizos.

Ucieszył się Midas. Lecz o co ma prosić? to pytanie na które trudna odpowiedź.

Nie zdarzy się zapewne raz drugi równie dobra sposobność zadowolenia swoich życzeń. Król łamał głowę, a złośliwi opowiadają, że na tej głowie, niezbyt widocznie mądrej, wyrosły potem osłe uszy.

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Midas, po długim namyśle, trafił na życzenie bardzo pospolite. Chciał być bogatym, jak nikt na świecie. Dlatego rzekł do Dyonizosa:

— Spraw, o władco, aby wszystko czego dotknę stało się złotem.

Piękne życzenie, nieprawdaż? Midas przynajmniej tak sądził, ucieszył się więc bardzo, gdy bożek skinął łaskawie głową na znak przyzwolenia.

Odtąd istotnie wszystko pod ręką króla zamieniało się w złoto. Złotemi były jego szaty, złotemi podwoje i próg pałacu, bo dotknął ich wchodząc; złotym tron, na którym zasiadał, złotym zwój pergaminu, gdzie chciał zapisać pamiętne zdarzenie, złotym piękny kwiat, urwany w ogrodzie, złotym piasek na ścieżkach parku. Słowem, Dyonizos dotrzymał obietnicy, Midas był najbogatszym królem na świecie.

Upojony radością, zapominając o powadze monarchy, biegał po swym pałacu, dotykając z kolei jego ścian, kolumn, przedsiónek. Mury i ozdoby architektoniczne, zamienione w złoto, błyszczały w słońcu nieporównanym połyskiem. Drzewa złote szeleściły złotemi liśćmi, a pomarańcze zwieszały zamiast owoców, ciężkie złote kule.

Zmęczony Midas usiadł nareszcie i wyczerpany doznaniem wrażeniami, zaprzagnął pokrzepić swe siły. Prędko podano mu wino i owoce lecz zaledwie głodny król dotknął ich ustami, zamieniły się w złoto. Chce użyć kąpieli, aliści woda zamiast ochładzać strudzone członki, tężeje w bryłę kruszcu!

Przerażenie ogarnęło Midasa. Miał, czego pragnął, lecz teraz dopiero widział, jak nierozsądnem było jego życzenie. Złoto chociaż pięknym i użytecznym jest metalem, nie daje samo przez się żadnego zadowolenia. Posiadając złoto, można jednak umrzeć z głodu i taka właśnie straszna śmierć głodowa groziła Midasowi. Po kilkudniowym więc poście, błaga gorąco Dyonizosa, aby cofnął swą łaskę.

— Wykąp się w rzece Paktolu — zabrzmiął głos bożka. Midas skwapliwie usłuchał rozkazu. Właśnie wychodził z barwnych wód, kiedy zobaczył rybaka, łowiącego ryby na wędkę. Rybak był stary, chiton \*) jego podarty; Midas spojrzawszy z współczuciem na biedaka i rzekł:

— Niestety, nie uczynię cię bogatym, bo straciłem moc przysparzania złota.

— Mojem bogactwem wędka! — odparł z godnością stary rybak, i podczas gdy król spożywał chciwie ciasto, które na szczęście nie zmieniło się w złoto, on łowił dalej ryby.

Podanie mówi, że odtąd na dnie Paktolu znajdowano

złoty piasek, pamiątkę kąpieli Midasa, on sam zaś często zastanawiał się nad odpowiedzią rybaka i pytał: Czyżby istotnie wędka mogła być bogactwem?

Spróbujmy rozwiązać to zagadnienie.

Każdy z was zna z pewnością historię Robinsona, wyrzuczonego na wyspę bezludną.

Ciekawe to opowiadanie dla tego tak zajmuje, że przedstawia nam człowieka, własnym przemysłem zaspakajającego wszystkie swoje potrzeby. Niedołęga wyrzucony na wyspę bezludną zginąłby odrazu. Robinson był człowiekiem dzielnym, zdobył więc sobie i zabezpieczył żywność, zdobył ubranie i wygodne schronienie. Toż starał się, aby w jego jaskini nie było nawet ładnie, i słusznie, bo chociaż piękno nie daje człowiekowi bezpośredniej korzyści, sprawia mu jednak przyjemność sobie tylko właściwą, i dążenie do upiększania otaczających nas przedmiotów jest dążeniem godnem zabiegów dzielnego człowieka.

Wróćmy jednak do Robinsona.

Żeby żyć, musiał on jeść. Na wyspie rosły owoce, Robinson zrywał je i jadł. Bóg zasiał ziemię mnóstwem swych darów; człowiek korzysta z nich, zdobywając je pracą. Ale praca rąk nie wystarcza. Bóg powiedział, że opanować mamy ziemię ze wszystkimi jej skarbami. Robinson, żeby narwać owoców użył tylko rąk, gdy chciał jednak chwycić ptaki, zrobić musiał sidła, bo bez narzędzia nie byłby podobał temu zadaniu.

Bóg dał człowiekowi rozum, rozumem dokonywa on wielkich rzeczy, rozum ten ujawnił się zaraz w obmyśleniu pierwszego narzędzia. Zmysłność zwierzęcia różną jest od pomysłowości człowieka. Zwierzę nie robi narzędzia, mógł je zrobić tylko człowiek, obdarzony od Boga duchem nieśmiertelnym i rozumnym.

Znaleźliśmy więc odpowiedź na pytanie króla Midasa: czy wędka rybacka jest bogactwem?

Jest, każde narzędzie jest bogactwem, gdyż z jego pomocą zaspokajamy nasze potrzeby i zdobywamy nowe bogactwa.

Spytacie może z kolei: Dla czego więc przez bogactwo rozumieją ludzie wielką ilość złota, kiedy jak widzieliśmy ono nakarmi nas, ani ubrać nie może?

Spróbujmy znów odpowiedzieć sobie na to ważne zagadnienie i znów ułatwi nam to Robinson. Robinson gromadził z każdym dniem coraz więcej bogactw. Ulepił garnki z gliny, upłócił koszyki, uszył ubranie, zrobił łuk i strzały, słowem majątek jego rósł. Mógł już pomyśleć o przysporzeniu sobie pociech duchowych i w tym celu, mając odpowiednie narzędzia, postawił krzyż. Ale każdy z posiadanych przedmiotów kosztował go dużo pracy i czasu; zaledwie nabrał wprawy w garnciarstwie, już podarte ubranie zapędzało go do krawiectwa. Jakże żałował, że na wyspie nie było więcej ludzi.

— Jeden robiłby łuki, drugi sidła, trzeci obuwie i wymienialiibyśmy między sobą nasze bogactwa. Tak myślał Robinson i miał słuszność, bo tak właśnie robią zwykle ludzie: wymieniają oni między sobą swoje bogactwa.

Widzę, jak Janek, syn doktora Dolskiego robi dziwną minę, a nawet rusza ramionami. Mój ojciec nic nie wymienia, przyjmuje chorych od godziny 5 do 7-ej i otrzymuje od nich pieniądze. Michaś Brzeski uśmiecha się złośliwie na tę uwagę kolegi. Michaś jest bardzo rozważnym chłopcem, zastanawia się nad wielu rzeczami i podziela moje zdanie. Spróbujmy więc przekonać Janka.

Wyobraźmy sobie wyspę, na której mieszkałby nie jeden, ale trzydziestu Robinsonów. Burza wyrzuciła ich na brzeg i muszą żyć długo, może kilka lat, zanim jaki okręt przypłyynie do odległej wysepki. Wszystko to są dzielni ludzie, przyzwyczajeni walczyć z przeciwnościami, nie lamentują więc, tylko biorą się do roboty, żeby żyć. Przybyli umieją różne rzemiosła: krawiec zaczyna szyc suknie ze skór, cieśla stawia domy, stolarze piłują drzewo na sprzęty, kowale zbierają rudę, przetopią ją i będą kuli siekiery. Po roku nowi osadnicy zgromadzili już dużo bogactw, a jeśli szewe

\*) Szata, jaką wówczas noszono.



potrzebował stołu, dawał stolarzowi obuwie i w zamian dostawał stół, kowal za siekiere brał od myśliwego zwierzynę, krawiec szył suknie, a dostawał ryby, a uczony doktor, który znalazł się także na wyspie, czuwał nad zdrowiem towarzyszy, za co oni oddawali mu w zamian różne przysługi.

Wkrótce jednak kłótnie i niezadowolenie wkradły się między osadników. Stolarz zrobił stołek i chciał go wymienić u rybaka na ryby, bo potrzebował pożywienia, ale rybak odmówił układu, mówiąc, że łowiąc ryby siada na nadbrzeżnej murawie, że mu więc ona zastąpi krzesło. Za to szewc do swej pracy potrzebował koniecznie stołka, dawał za nie stolarzowi parę butów uszytych z zajęczej skóry, ale stolarz nie miał na nie ochoty, bo wystrugał sobie treпки z drzewa. Z kolei cieśla okazał niezadowolenie. Wybudowanie chaty kosztowało dużo pracy. Czyż mógł się podjąć tej pracy dla szewca za parę nędznego obuwia, lub dla kowala za siekiere, chociaż jej potrzebował?

(d. c. n.)

## W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

— Nie straszycie ich widok łodzi — zauważył Mildmay — widocznie od dłuższego czasu nie polowano na nie w tych stronach. Gdybyśmy także ubili sztuk kilka, byłaby to dobra sposobność wzbogacenia biednego Hudsona.

— Doskonała myśl! — zawołał z zadowoleniem profesor. — Wyświadczymy przysługę ojcu Florki, a zarazem spróbujemy celności dalekoonych strzelb naszych.

Po tych słowach całe towarzystwo zeszło do zbrojowni, każdy wybrał broń wskazaną przez Karlińskiego i zaopatrzył się w pewną ilość naboju.

Powróciwszy na pokład, podróżni zauważyli, że jakkolwiek łodziom rybackim powiodło się dosięgnąć i pochwyć trzech wielorybów, stado nie zdawało się być spłoszonem.

Zatrzymano więc „Latającą Lybę” i czterech podróżni z nabitą bronią, stanęli po czterech stronach pokładu. Baronet strzelił pierwszy, wybrał na ofiarę swoją jedną z większych sztuk, której bok wystający nad wodą, wygodnie za cel mógł służyć. Strzał był tak cichy, że świadczył o nim tylko lekki obłoczek dymu, unoszący się w powietrzu i delikatne uderzenie spuszczonego kurka. Wieloryb drgnął gwałtownie, rzucił się w górę i martwy wypłynął na powierzchnię wody.

Strzelali następnie z pomyślnym skutkiem profesor i pułkownik, tylko chybił Mildmay z wielkim dla siebie wstydem; niezręczność swoją postarał się jednak zaraz naprawić, zabijając dwa wieloryby, zanim towarzysze jego ponownie zmierzyl. Tym sposobem w ciągu dziesięciu minut ośm sztuk padło z rąk podróżnych. Profesor przeciwny nadmieremu łepieniu zwierząt, uznał tę ilość za dostateczną dla Hudsona, tem więcej, że każda z wysłanych na połów łodzi wracała obciążona łupem. „Latająca Ryba” stanęła w jednej linii z „Walrusem” a baronet zawołał:

— Bacznosc Walrus! Ile wielorybów stanowi dostateczny dla ciebie ładunek?

— Chciałbym ich mieć z pół tuzina — brzmiała niechętnym głosem wypowiedziana odpowiedź.

— Masz ich więcej, bo sztuk jedenaście — oświadczył sir Reginald — prócz trzech złowionych przez łodzie, jest do zabrania ośm wielorybów zabitych.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? — z radosnem

zdziwieniem pytał kapitan. — Czy zabijaliście wieloryby na korzyść naszą?

— Niewątpliwie — odparł baronet — nam one przydaćby się nie mogły!

Hudson uszczęśliwiony dziękował serdecznie.

— Niech to Bóg panom nagrodi — mówił — nową wyświadczyliście mi łaskę. Statek nasz nie wytrzyma większego ładunku nad jedenaście zabitych wielorybów; resztę gromady zostawimy w spokoju na późniejsze czasy.

W takim razie żegnamy cię, kapitanie, i życzymy szczęśliwej podróży.

— Tego i ja panom życzę z całego serca, raz jeszcze dziękując za wyświadczone nam przysługi!

Po chwili „Latająca Ryba,” z szybkością dwunastu mil morskich na godzinę, popłynęła na północ, lecz w parę godzin, wobec zaciśniętych lodowców, uznano potrzebę wzniesienia się w powietrze i dopiero w pobliżu wybrzeży Grenlandy spuśczoneo się znowu na szerszy kanał.

— Będziemy teraz podziwiali widok spotykany wyłącznie w stronach podbiegunowych. — odezwał się profesor.

— Cóż takiego? — zawołał towarzysze.

— Bądźcie cierpliwi! — odrzekł Karliński.

Niebawem, po dokonany przez statek zakręcie, wspaniałym widokiem przedstawił się oczom podróżnych. Ogromne, jakby z najczystszo krysztalu skały lodowe, do trzystu stóp wysokie, a rozległością sięgające granic horyzontu, stanęły przed nimi. Były to tak zwane lodowce Humboldta. W oświetleniu promieni słonecznych błyszcząły jak najpiękniejsze brylanty, mieniając się wszystkiemi barwami tęczy i odbijając blask swój na zwierciadlanej powierzchni wody.

Shczęściem dla podróżnych, pragnących nacieszyć się wspaniałym widokiem, wiatr ustał a w powietrzu rozlegał się tylko głuchy łoskot potracających się w dali lodowców. Nagle posłyszano trzask, niby ogień karabinowy całej armii; masy lodu poruszać się zaczęły zrazu z wolna, potem coraz prędzej, kołyszac się i zanurzając lub wychylając z wody, kipiącej jak ukrop i oddzielnemi strumieniami spływającej z lodowych wierzchołków. Na zakończenie olbrzymi słup wody trysnął wysoko w górę, przyskając białą pianą dokoła i groźąc zalaniem „Latającej Ryby.” Podróżni przypatrywali się temu z trwogą; czuli bezsilność swoją wobec rozszalałego żywiołu. Pierwszy ochłonął z przerażenia Mildmay, rzucił się do maszyn i wznosił statek w powietrze dla uniknięcia niebezpieczeństwa. Po pewnym czasie bałwany uspokoiły się powoli, woda przestała gwałtownie falować i „Latająca Ryba” mogła wrócić na jej powierzchnię.

— Powinszujemy sobie odezwał się wówczas profesor — mieliśmy dziś sposobność nietylko podziwiania lodowców Humboldta, ale jeszcze byliśmy świadkami narodzin gór lodowych.

Istotnie, w niezbyt wielkiej od nich odległości, wystąpił z pod wody lodowiec olbrzymich rozmiarów. Widoczna dla oka objętość tej bryły, była tylko 1/8 częścią jej rzeczywistej wielkości, ukrytej pod wodą.

Oderwawszy z żalem wrok od tych niezwykłych obrazów, podróżni popłynęli dalej kanałami: Kennedy i Robeson, przelatując od czasu do czasu ponad zagradzającemi im drogę lodowcami, aż póki koło 82° szerokości północnej ląd zniknął im z oczu i ujrzeli przed sobą bezgraniczną przestrzeń lodową, ciągnącą się ku północy.

Od chwili gdy minęli wyspę Disko, podróżni spotykali dużo fok, wielorybów, czasami dostrzegli pojedynczo trzymającego się niedźwiedzia, lisów północnej strefy, gromady reniferów, a nawet niekiedy okazy wołów piżmowych, nie mówiąc o różnych gatunkach ptaków, jak dzikie gęsi, kaczkki lub orły morskie, nurki, tłuściele, mewy i t. p. Czas był piękny, bo przybyli w te odległe strony w letniej porze, w której zwykły okręt, wyruszający z kraju na wiosnę, zdążyć tam nie może, bo potrzebowałby na to kilku miesięcy czasu. Prędko jednak znikać zaczęły ślady życia zwierzęcego, nawet gromady mew, towarzyszące okrętowi, gdy płynął po wodzie, porzuciły go, żegnając złowrogim skrzeczeniem, jakby przestrzegały



przed niebezpieczeństwem i nakłaniały do powrotu na południe.

Powietrze również zmieniło się nagle; ciemne chmury zawisły na niebie, termometr spadł do 15° stopni niżej zera, głucha cisza panowała w lodowej pustyni, nad którą tylko wiatr zimny przeciągał.

Lód nawet inny przybrał pozór; sople wierzchnie straciły przezroczystość, bryły nabrały barwy starej kości słoniowej a kanty ich wygładzały się pod działaniem czasu.

Na żądanie profesora zatrzymano statek; podróżni, ubrani ciepłe futra, zeszli na lód dla zbadania jego gatunku.

— Przewidywania moje nie stwierdziły się — odezwał się profesor — dosięgliśmy strefy stałych lodowców, przez to upada hipoteza wolnego, niezamarzłego morza koło samego bieguna. Spójrzcie na tę bryłę lodu przyóstką, jakby spleśniałą, ale nie tą wilgotną pleśnią, zapowiadającą roztopę, lecz poprostu pleśnią starości. Można lód rozbić na drobne kawałki, żaden jednak z tych kawałków nie da się rozpuścić. Świadczy to, że długie lata, może wieki całe minęły od chwili, kiedy lód ten był cieką wodną. Kanty nawet jego są wygładzone, jakby zaokrąglone pod działaniem wiatru, śniegu, gradu, a przypuszczalnie i deszczu, obijającego powierzchnię tych brył. Nic też dziwnego, że życie zamarło w takich warunkach, że istnieć tu nie może choćby owad najmniejszy. Wracajmy na statek, przyjaciele, porzućmy coperdziej okolice, gdzie nie znajdziemy nic, coby budzić mogło zajęcie, póki nie dosięgniemy bieguna, który być może jest punktem nie różniącym się niczem od tej lodowej pustyni.

Omylił się tym razem profesor; w niedalekiej chwili czekało ich ciekawe odkrycie.

Podróżni powrócili na „Latającą Rybę” w smutnym usposobieniu, podnieśli kotwicę i poszybowali w powietrzu ku północy.

Gdy wiatr po pewnym czasie przybrał kierunek wschodni, Mildmay bystrym swym wzrokiem dostrzegł niewykły jakiś przedmiot. Były to dwie belki w odległości kilkunastu stóp jedna od drugiej, wystające z lodu i podtrzymujące coś jakby resztki drewnianego pomostu. Postanowili rzecz tę dokładnie zbadać. Ponieważ pora już była spóźniona, poszukali miejsca dogodnego na czasową przystań, i przytwierdzili „Latającą Rybę” do lodu czterema kotwicami. Przezorność ta okazała się bardzo uzasadnioną, nazajutrz bowiem silny wiatr zaczął dąć od północy, niosąc z sobą zawieję śnieżną i wstrząsając statkiem z nadszyczącą siłą.

Podczas takiej wichury i śnieżycy, nie sposób było myśleć o poszukiwaniach; podróżni skazani zostali na przymusową bezczynność. Nie ciążyła im ona zbyt ciężko, bo krótko tylko sypiając dotychczas, byli znużeni i potrzebowali wypoczynku, a nadto mieli zaległe roboty, jak rachunki, rysunki i notatki. Tak zajęci, poświęcając w dodatku kilka godzin muzyce, spędzili dzień dość przyjemnie pomimo wiatru, który

wyjąc i hucząc targał statkiem, nie mogąc jednak zerwać kotwic.

Cztery dni następne upłynęły im w ten sam sposób, wichura bowiem nie ustawała na chwilę, a śnieg padał bez ustanku. Piątego dnia dopiero wiatr uciszył się, przyjąwszy kierunek południowo-zachodni, temperatura, która spadła do 33° niżej zera, podniosła na 20°, a chociaż niebo ciągle było zachmurzone i zimno przejmujące, mimo to podróżni, zaopatrzywszy się w ciepłe ubrania i nałożywszy łyżwy śniegowe (ski) na nogi, wyruszyli na odkrycie tego, co znajdowało się pomiędzy dwiema wystającymi z lodu belkami.

## XI.

### Ciekawy zabytek.

Gdy podróżni nasi zeszli na lód, różnica [temperatury między] łagodnym ciepłem panującym w kajutach, a przejmującym zimnem na dworze, o mało nie zagnała ich do powrotu. Przetrwali jednak przykre uczucie, i szybkim ruchem pobudzili cyrkulację krwi; oddech tylko mieli ciężki i utrudniony, i zanim dosięgli celu wyprawy, przekonali się, że w strefie podbiegunowej każdy krok niemal połączony jest z różnemi trudnościami. Bliższe zbadanie dwóch wystających z lodu bali wykazało, że były to maszty zatopionego okrętu, pleśń zaś pokrywająca drzewo świadczyła, iż okręt ten od dawna pod lodem znajdować się musiał. Przepuszczenie podobne tem żywsze zaciekawienie budziło w podróżnych; nie zważając na zimno, toporami i oskardami zaczęli rozbijać lód i odrzucać go na bok. Niska temperatura utrudniała im pracę; do wieczora zdążyli zaledwie zrobić wydrążenie na dwadzieścia kilka stóp długie a ośm stóp głębokie.

W taki sposób pracowali dziesięć dni z rzędu, zmuszeni jeszcze często odgarniać padający śnieg, który zasypywał wykopany rów. Zniecierpliwiony profesor

postanowił użyć dynamitu do rozsadzania lodu. Wykonał to szczęśliwie, nie uszkodziwszy odgrzebywanego statku i dopiero z pomocą materyi wybuchowej, czternastego dnia zdołano odkopać pokład okrętu. Było to dla podróżnych nowym bodźcem do dalszych poszukiwań; okręt ten bowiem niezwykłą budową swoją przedstawiał ciekawy zabytek przeszłości.

Następnego dnia Karliński i jego towarzysze wcześniej rozpoczęli pracę i do wieczora odgrzebali z lodu cały kadłub statku, który zdawał się być okrętem starodawnych Wikingów normandzkich. Był on osnaście stóp długi, szesnaście stóp szeroki i swego czasu stanowić musiał wspaniały okaz techniki marynarskiej. Zbudowany z drzewa, miał na dwóch słupach z przodu i z tyłu grubym dłutem, ale śmiałą ręką wyrzeźbione głowy końskie. Do burtów przytwierdzone były w otworach wiosła doskonale zachowane, zarówno jak część masztów pod lodem będących, tylko druga ich połowa wystawiona na działanie powietrza uległa zmurszeniu.



WEJŚCIE NA PIRAMIDĘ (str. 376).



Obejrawszy dokładnie statek zewnątrz, podróżni zapragnęli zwiedzić jego wnętrze. W tym celu przez małe drzwiczki weszli pod pokład, skąd Mildmay pierwszy po wąskiej drabince zszedł na dół. Tam znalazł się jakby w małym przedsionku, którego sufit, podłoga i ściany wyłożone były taflami lodowymi, a z góry zwisały się sople lodu różnej grubości.

Rozglądając się dookoła porucznik dostrzegł w głębi małe drzwiczki, tak wielką warstwą lodu pokryte, że rozrąbanie jego zajęło mu więcej, niż pół godziny. Przez ten czas towarzysze pobiegli na „Latającą Rybę” po lampki

W kajucie cztery znajdowały się trupy; trzy leżały na ziemi okryte skórami, podczas gdy czwarty, prawdopodobnie niegdyś wódz wyprawy, siedział w rogu stołu w wielkiem rzeźbionem krześle, jakby niespodziewanie pochwycyony snem śmierci.

(d. c. n.)



GROTA MATKI BOSKIEJ W LOURDES (str. 376).

elektryczne, a gdy powrócili, zastali już drzwi odemknięte poczuli przykry zaduch wychodzący z głębi kajuty.

Nie zważając na to, weszli do środka. Kajuta stosunkowo do rozmiarów statku, była dość obszerna; dookoła stały ławki, na środku stół rzeźbiony. Ściany zaś dla niedopuszczenia zimna pokryte były skórami fok, morsów i niedźwiedzi białych, na których wisały trofea wojenne i różnego rodzaju broń jak: miecze obosieczne, puklerze, maczugi, topory, strzały, łuki i t. p. Mimo zajęcia, jakie te przedmioty budziły, oczy przybyszów zwróciły się z uczuciem grozy w zamarłe oblicza mieszkańców tej kajuty. Synowie XIX wieku, znaleźli się wobec przedstawicieli minionych stuleci, którzy przed wiekami w chwili odjazdu z ojczyzny, pełni otuchy w szczęśliwą podróż, ślali może z pokładu ostatnie pożegnania żonom, rodzinom, puszczając się na wyprawę, z której nie mieli nigdy powrócić.

*Marya Łopuszańska.*

## OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

— Wolalbym nadto potęgę — mruknął Masław odjeżdżając. — No ale zdaje mi się, że Czarnobóg niebardzo musi być dziś ze mnie zadowolony, dziś niezupełnie jemu służyłem. — I dodał po chwili z uśmiechem: — Wprawdzie i to może posłużyć do moich planów, lecz w pierwszej chwili naprawdę poszedłem za głupiem uczuciem litości! Jak też



to człowiek nigdy za siebie ręczyć nie może. A nawet Rokitka mówił, że moje serce nieprzystępne temu uczuciu.

— Stary lis chciał mi oszukać, dodał po chwilowem milczeniu, sądził, że tak łatwo oszukać Masława! Ale czekaj ty karle przeklęty, znajdę ja inną drogę by wymódz pomoc od twego pana! Już na wszystko się zważyłem: Śmierć albo potęga!

Gdy Masław wjechał w dolną Prądnika, noc już zapadła zupełnie; po bokach migotały gromady skał, których rysy ledwie dawały się odgadywać w ciemności, odcinając się jeszcze czarniej na czarnem tle nieba. Minął już skałę Sokolą, która niby maczuga jakiegoś potężnego bożka, wtknięta w ziemię, sterczała grubsza w góry niż w spodu i zdawało się, że lada chwila runie w dolinę; minął wreszcie gródek knezia Mszczuja, gdzie na szczycie połyskiwało światelko w ciemności, i podążał dalej.

Mijając obrócił się raz jeszcze, popatrzył na gródek, i pogroził mu:

— Ha, wy knezie, rozbójnicy! mruknął, pożałujecie wy kiedyś żeście chłopem wzgardzili! I ty stary wilku i ty, młody pyszniku, poczujecie oba dłoń moją! Chybabym nie żył jeśli bym nie zemścił się na was!

Białe mgły zaległy wąską dolinę; w ciemności słychać było jak Prądnik, wezbrany niedawną burzą, huczał rozbijając się po kamieniach. Czem dalej się posuwał, tem dziwniejsze kształty przybierały skały; w nocy zdawały się one szeregiem olbrzymów i potworów, strzegących wejścia do przybytku groźnego ducha ciemności.

Jakkolwiek śmiałym był Masław, poczuł jednak na razie trwogę i wahanie się; lecz prędko przewyciężył chwilową słabość.

— Śmierć lub potęga! szepnął.

Tylko Wyrwidąb jechał spokojny, jakby nie domyślając się niczego; żadnej trwogi nie doświadczał, ani na widok miejsca odludnego i mającego tak złą sławę, ani na obecność nocy, roztaczającej dokoła wszystkie swe okropności.

Przed nimi sterczała wysoka góra, najeżona lasem świerkowym; była to góra Chełmowa. Masław zostawił konia pod drzewem, i nie namyślając się, wraz z Wyrwidębem zaczęli wdierać się na wyżynę.

Nie chciał wywoływać Rokitki; teraz sam wiedział drogę do pieczary i prosto do niej dążył.

Wkrótce odszukali wnijscie: zagłębili się obaj w ciemny korytarz między dwoma skałami. Masław co chwila oczekiwał, że przed sobą lub za sobą usłyszy szydery śmiech karła; lecz cisza zalegała dokoła, tylko nietoperze tłukły się w ciemnościach wydając ten dziwny pisk, podobny do zgrzytu dwóch kości, pocieranych o siebie.

Stanęli w progu pieczary. Wyrwidąb skrzesał ognia; w pieczarze ani żywej duszy nie było. W pośrodku tylko tlał jeszcze ogień z suchych gałęzi, świadczący, że tajemniczy władca tych miejsc niedawno je opuścił. W miarę jak płomień dogasał to znów buchał, po ścianach przesunął się szereg ruchomych cieni. Z sufitu, cichym szelestem spadały krople wody. Masław i Wyrwidąb zsunęli się na dół i stanęli na dnie groty.

Masław obszedł ją całą, zaglądając w każdy kąt, czy nie ujrzy gdzie Rokitki; lecz pusto było dokoła. Wyrwidąb wyszukał gdzieś łuczywo i zapalił je, ale słabe owo światło gubiło się w ogromnej pieczarze. W jednym kącie spał ryś, lecz za zbliżeniem się nowoprzybyłych, porwał się z posłania, odskoczył a oczy jego błysnęły w ciemności jak dwie świece. Wyrwidąb zamierzył się nań, Masław jednak go wstrzymał nie chcąc gniewać Rokitki, w którego mocy znajdowali się w każdym razie, przezywając w jego siedzibie. Ryś też po chwili poszedł się położyć spokojnie na posłanie.

Masław znów zaczął krążyć po pieczarze; gdy oddalił się na drugi koniec, zdało mu się, że w jednym z bocznych załomów, które w kształcie korytarzy gubiły się gdzieś w głębi ziemi, spostrzegł jakąś postać białą. Cień ten zaledwo ukazawszy się zniknął tak, że nie mógł poznać czy to ludzka

istota lub widmo. Spojrzał na Wyrwidęba ten siedział objętny przy ogniu. Nietoperze wciąż krążyły koło ognia lub jak strzały przelatywały po nad nim, uderzając o przeciwną stronę z piskiem.

— Długo na siebie daje czekać mruknął, zniecierpliwiony Masław, pomyślał o postaci, widzianej przed chwilą.

— Kto wie jakie tajemnice kryje ten potwór w swoim podziemnem schronieniu — rzekł po chwili do siebie — wprawdzie zaprzeczał temu, że składa krwawe ofiary swemu bogu, lecz czy można mu wierzyć? A może to widmo jakie, wywołane przezeń by doświadczyć mojej odwagi? Lecz jeśli myślisz przebiegły potworze, że mię nastraszysz, to się bardzo mylisz; spróbuj, wyślij na maie wszystkie swoje szatany, obaczysz czy się ich zleknie? Wypowiedział te słowa na głos, lecz w tej, że chwili, w odpowiedzi usłyszał za sobą ów dobrze mu znany śmiech szydery, podobny do zgrzytu żelaza. Obejrzał się z mimowolną trwogą ale nikogo nie spostrzegł.

— Ukaż-że się raz przecie, przeklęty karle! krzyknął. Echa pieczary odpowiedziały mu tylko.

— Ukaż się, bo przetrząsnę twe legowisko i zabiję jak sowę jeśli znajdę! zawołał w szalonym gniewie.

Śmiech szydery był całą odpowiedzią na te słowa.

Masław rzucił się w stronę z kądem dochodził, lecz napotkał tylko kamienną ścianę.

Nagle błysnęło światło w przeciwnym kącie, i w jego blasku ujrzął skurczoną postać Rokitki stojącą w progu jednego z bocznych korytarzy. W rękę trzymał zapalone łuczywo. Twarz jego była groźna. Stanął w pośrodku pieczary obejrzał się i rzekł głosem, który w niczem nie przypominał jego dawnego sposobu mówienia:

— Kto ośmiela się nachodzić świątynię Czarnoboga i siedzibę jego sługi, bez ich woli? zapytał groźnie, a oczy błyszczały mu jak u żbika w ciemności.

— Ja, Masław, ośmieliłem się na to! — odparł ten ostatni. — Przychodzę zapytać ciebie, który obiecałeś mi pomoc, czy takie twoje przymierze? Oszukałeś mię, podle oszukałeś! zamiast powodzenia wszystko mi się z rąk usuwa; rzucam się jak zwierz po klatce i nie zrobić nie mogę! Więc taka twoja pomoc, więc tak Czarnobóg wspiera tych, którzy z nim trzymają!.. No, ale teraz nie będę z tobą gadał a z nim samym. Nie boję się twoich pogroźek, chcę mu popatrzeć w oczy, niech się przekona czy lica śmiertelnika podobną na widok jego oblicza?..

Głos jego rozlegał się po pieczarze, budząc echa uśpionego w jej głębiach.

Rokitka spokojnie wysłuchał wyrzutów, wreszcie rzekł powoli.

— Nie jam ciebie wzywał, sam tu przyszedłeś poraz pierwszy i pierwszy mię wezwałeś. Nie zobowiązałem się do niczego; odrzuciłem przymierze które mi ofiarowałeś tak zuchwale i rzekłem tylko w końcu, że z własnej woli chcę ci pomagać; ale pamiętaj, obiecałem ci to we własnym moim imieniu, lecz nie w imieniu Czarnoboga.. A w zamian za moją łaskę przychodzisz zakłócać spokój tego przybytku tweimi zuchwałemi krzykami. Zapytuję, jak wówczas, kiedy poraz pierwszy tu się ukazałeś, czego chcesz?

Głos jego był spokojny i chłodny, choć gniew powstrzymany błyszczał w małych zielonych oczach.

Masław odparł dumnie:

— Cóż to mię obchodzi, czy w twojem czy w cudzem imieniu obiecywałeś mi pomoc, dość żeś mię oszukał. To coś dotąd uczynił nic nie znaczy, bez takiej pomocy ja się obejść! Powtarzam ci, chcę widzieć Czarnoboga, chcę układać się z nim osobiście. Powinieneś umieć go wywoływać, nie zrobisz tego dobrowolnie, to cię siłą zmuszę. Przysięgam ci, że nie ustąpię dokąd nie dokażę tego co postanowiłem!

Przez cały ten czas Wyrwidąb stał milczący, roztawiając nogi szeroko, gotów na każde skinienie swego pana. Na twarzy jego nie widać było żadnego zaniepokojenia; nawykły do ślepego posłuszeństwa Masławowi, wid- cze-



go sobie nie zdawał dokładnej sprawy, działając zawsze tylko jak narzędzie jego

Oczy Rokitki coraz groźniej błyszczały w ciemności; podobny był do kota, gotującego się do skoku, lecz milczał, wzrokiem tylko mierząc przeciwnika.

Masław dobył miecza.

— Czy zrobisz to czego chcę od ciebie? — krzyknął — Czy odpowiesz mi nareszcie poczwaro? Mów, bo cię tym mieczem porąbię w kawalki!

Karzeł milczał, lecz wzrok jego stawał się coraz straszniejszym; Masławowi zdawało się, że sypał iskry; na chwilę nawet byłby przysiągł, że usta jego zionęły ogniem. Mimo to, nieulekły stał trzymając w ręku miecz dobyty, z okiem wlepionym śmiało w karła.

Nagle ten roześmiał się przeraźliwie aż odpowiedzieli mu głośnie echa pieczary; Masław cofnął się zdumiony tą niespodzianą wesolnością.

— Cha, cha, cha, śmiało się Rokitka, zwyciężyłeś, zwyciężyłeś, mój mężny rycerzu; Czarnobóg lubi śmiałych, jak ty! Nie dałeś się przelęknąć niczem, dla tego też zrobię czego żądałeś; będziesz widział władcę ciemności, spojrzysz w jego oblicze, jeżeli tylko będziesz miał dość siły na to.

Pomimo tej gotowości na wszystko, Masław nie mógł się oprzeć mimowolnemu niepokoju, bo śmiech Rokitki miał coś złośliwego w sobie. Lecz w naturze jego leżało to, że nie cofał się przed niczem co raz postanowił, nie okazywał więc strachu po sobie, ale czekał co dalej będzie. Rokitka dorzucił suchych gałęzi na ogień, który już dopalać się zaczynał poczem spojrzął na Wyrwidąba.

— Ten człowiek tu pozostać nie może rzekł, tobie tylko jednemu obiecałem pokazać władcę ciemności. A zwracając się do pacholka:

— Wyjdź stąd, rzekł rozkazująco.

Wyrwidąb nie ruszył się z miejsca.

— Wyjdź, jeśli ci życie miłe, powtórzył Rokitka, nie będziesz tego żałował.

Masław skinął na pacholka, ten posłuszny jego woli, opuścił pieczarę.

Rokitka, pozostawszy sam z Masławem, obrócił się doń i rzekł uroczyście:

— Po raz ostatni zapytuję cię: czy chcesz koniecznie ujrzeć potężnego ducha ciemności? Powtarzam ci, iż żądanie to śmiercią grozi! namyśl się więc.

— Już się namyśliłem — rzekł Masław pewnym głosem.

— A więc zrobiłem swoje; teraz nie miej do mnie żalu, żem cię nie uprzedził — rzekł Rokitka szydlerczo.

Poczem rozrzucił ogień i z głowni ułożył koło na ziemi, kazawszy Masławowi stanąć pośrodku; zgasił łuczycwo, płonące dotąd; pieczara pogrążyła się w ciemności.

Masław widział tylko przed sobą błyszczące, zielone oczy karła, którego niekształtna postać przybierała coraz fantastyczniejszy pozór.

— Dobądź miecza! zawołał Rokitka stłumionym głosem, i strzeż się wychodzić z tego koła, inaczej śmierć!

Rys wywlokł się z kąta i przysiadł w pobliżu na tylnych łapach, jakby był także jakimś duchem podwładnym Rokitce. W ciemnościach odznaczało się jeszcze bardziej ogniste koło, a przy blasku głowni połyskiwał miecz dobyty Masława. Rokitka począł krążyć powoli wokoło, i rzecz dziwna, rys także mu towarzyszył, topiąc w Masławie swoje oczy szare, w których odbijał się jakiś szczególny wyraz.

Wreszcie Rokitka stanął, wymawiając uroczyste zaklęcia w następujące słowa:

Z nocą czarną, kiedy sowa huką  
Z wichrem który błądzi po rozstaju,  
I wśród mogił wirem się zakręca,  
Z nocną gwiazdą bladą i posepną.

Przybądź Czarnobogu!

Bies, Czarnobóg, Strybóg, straszne bóstwo!  
Wzywam ciebie w jakiej chcesz postaci  
Objaw mi się tu, na me zaklęcia!

A gdy z wichrem przyjdiesz nocną dobą,  
Wichrem bujnym tu ciebie pozdrawiam,  
A gdy w ogniu ukazesz się błędnym  
W nocnym ogniu ja ciebie pozdrawiam;  
Potrzykrotnie mój pokłon ci składam  
I po trzykroć wzywam, czarny duchu!

Głos Rokitki podnosił się coraz silniej i potężniej; gdy skończył, nad pieczarą, w dolinie, dał się słyszeć szum gwałtownego wichru.

W teje chwili Masław, wpatrzony w jeden kąt pieczary, ujrzał przed sobą jakieś oczy groźne, zwrócone na niego z potężnym, nieubłaganym wyrazem... Byłże to odbłask ognia na ścianie, czy oczy rysia albo naprawdę duch ciemności spojrzął na niego? Nie umiał na to odpowiedzieć, czuł tylko, że pod tem spojrzeniem zimnem, jak ostrze stali, jakiś chłód zmroził nagle jego serce, jakby ostatecznie zamarło w niem wszystko co ludzkie, jakby jakaś chłodna ręka przesunęła się po niem; a nie będąc zdolnym znieść dłużej napływu wrażeń, padł na ziemię.

Gdy przyszedł do siebie, ujrzał, że w pieczarze znów się ogień pali, a nad nim stoi Rokitka i śmieje się swoim zwykłym śmiechem.

— A co, mężny rycerzu? — pytał — czy straciłeś już chęć do wywoływania ducha? Mimo twej zuchwałej odwagi, technienie jego uniosło cię, jak słabą słomkę. Szczęśliwie jeszcze wyszedłeś z tej całej sprawy; gniew Czarnoboga bywa strasznym. Lecz ciebie nie dosięże, bądź spokojny; potrzebny nam jesteś, bo bez ciebie wiele złego nie byłoby spełnionem na świecie; nikt tak dobrze nie usłuży Czarnobogowi, jak ty; dla tego też osłaniamy cię opieką. Ale teraz grozi ci potężna siła, której my nawet zwalczyć nie możemy, gdyż ona moc nam odbiera. Strzeż się tej siły, ona zgubę przyniesie może twym zamiarom!

— Mów jaśniej! — zawołał Masław — z której strony mam się spodziewać niebezpieczeństwa?

— Wyjdzie ono z rodu knezia Mszczuja, więcej ci nie powiedzieć nie mogę!

— Z rodu knezia! — powtórzył Masław — zawsze mi staje na drodze ten ród pyszny i zuchwały. Ale postaram się zabezpieczyć od nich nadal, by mi nie szkodzili, obaczym kto z nas silniejszy, miłośnicy kneziui!

## XVII.

Ostatnie słowa jego zostały przerwane przez ukazanie się nowej postaci, która zjawiała się niespodzianie u wejścia. Z początku sądził, że to Wyrwidąb, lecz przekonał się niebawem o swej omyłce.

Nowoprzybyły był widocznie znacznego rodu, poznać to można było po jego dumnej postawie i świetnym ubiorze.

Przy świetle ogniska Masław dostrzegł nawet złoty łańcuch, błyskający mu na szyi. Znać, że nie po raz pierwszy znajduje się w tem miejscu, bo szedł śmiało i pewnie.

— Oddał się tam — szepnął Rokitka, wskazując mu jeden z bocznych korytarzy.

Masław usłuchał, lecz wciąż zajęty był myślą, kto mógł być ów nieznamy z tak pańską powierzchownością.

Z powodu ciemności przybysz nie spostrzegł, że z Rokitką znajdował się przed chwilą ktoś drugi; przybliżył się do ogniska tak, że Masław ze swego ukrycia mógł mu się przypatrzeć: Wzrostu był średniego, na głowie miał drogi kołpak soboli, a bogata klamra spinała mu płaszcz na jednym ramieniu. Oblicze jego Masław nie mógł się przypatrzeć, było bowiem w cieniu.

Zaczął coś mówić z Rokitką, lecz z oddalenia nie słychać było rozmowy; znać tylko było, że gość o coś pyta, a karzeł odpowiada ze zwykłym mu szydlerstwem.

Długo trwała owa narada, prowadzona półgłosem, wreszcie Rokitka rzekł głośno:

— Czarnobóg nie może pomódz tym, którzy sobie sami nie pomagają. Czyż ty, książę, możesz co wymagać od Czar-



5 —  
noboga, kiedy sam nie wiesz, nie śmiesz wyznać przed  
czego pragniesz. Ale ja ci powiem: zazdrość to, zazdrość ku  
najbliższemu popycha ciebie; lecz nie masz dość śmiałości by  
działać samemu, a szukasz pomocy cudzej, nigdy też niczego  
nie dokonasz, będziesz całe życie opierał się na drugich.  
Ciesz się wszakże królewiczu, Bezbrajmie, będziesz miał dość  
mocy by zatruć życie twemu bratu i doprowadzić go do sza-  
leństwa.

Masław słuchał onych słów Rokitki, dźwięczących iro-  
nią i szyderstwem, lecz gdy usłyszał imię Bezbraima, podsko-  
czył, jakby powziąwszy myśl nagłą. Królewicz w tej chwili  
postąpił krok jeszcze ku ognisku i teraz Masław dojrzał obli-  
cze pociągłe, na którem, mimo młodości, nie było młodego  
wyrazu; raczej odbijała się tam skrytość, a zarazem chwiejny  
charakter. Oczy czarne błyszczały jakoś niespokojnie i ni-  
gdy długo nie spoczęły na jednym przedmiocie; zdawało się,  
że wciąż się czegoś obawiają lub podejrzują.

Był to jeden z tych ludzi, mogących się stać okrutnym  
i niebezpiecznym, gdyby tylko posiadał władzę, a to jedy-  
nie z powodu swej natury słabej i podejrzliwej, która najwię-  
cej tworzy tyranów. Takie spostrzeżenia robił Masław ze  
swej kryjówki, a usta jego powtarzały nieustannie:

— Bezbrajm, królewicz Bezbrajm! To bogowie, nie,  
to Czarnobóg go tu sprowadził, by domógł mi w zamiarach!  
Ze też mi to dawniej na myśl nie przyszło, choć słyszałem,  
że on teraz bawi w Krakowie!

Nie czekając dłużej, wyszedł ze swego ukrycia i stanął  
przed zdumionym królewiczem.

— Ktoś ty? — spytał Bezbrajm wyniośle. — Jak śmia-  
łeś tu wchodzić teraz?

— Jam jest ten, którego ty nie znasz — odparł nie  
zmieszany Masław — ale ja ciebie znam, królewiczu Bez-  
brajmie, znam cię lepiej, niż się tego spodziewasz! Nie patrz  
na mnie tak dumnie, bo przychodzę jako przyjaciel, jako  
stronnik twój...

— Lecz ktoś ty, co śmiesz się zwać mym przyjacielem,  
nie nazwawszy swego imienia? — odparł królewicz, brwi ściąg-  
ając. Nie znam cię, nie widziałem nigdy.

(d. n.)

---

## NASZE RYCINY.

---

**Grota Matki Boskiej w Lourdes.** Tłumy cho-  
rych, nieszczęśliwych i kalek, szukające ulgi i wyzdrowienia  
w cudownej grocie w Lourdes, natchnęły malarza hiszpańskie-  
go Garnelo pomysłem, do tego pięknego i rzetelnego obrazu.  
Właśnie przed 40 laty uboga pastuszką Bernadetta Soubi-  
rous, miała w tem miejscu widzenie Najświętszej Maryi  
Panny w takiej postaci, jaką widzimy na rysunku i jednocze-  
śnie na rozkaz Matki Boskiej wytrysnęło źródło, którego wo-

da mnóstwo podróżnych pielgrzymów od ciężkich i bezna-  
dziejnych wyleczyła chorób. Tysiące ludu przybywa dzisiaj  
do Lourdes (miasteczka w południowej Francji), a wszyscy  
niosą korne modły do Królowej niebios, wszyscy dążą pełni  
nadziei, że prośby ich wysłuchane zostaną.

W samej grocie nieustannie płonie mnóstwo światła,  
i wierni pod przewodnictwem miejscowych zakonników, zwa-  
nych „les Peres de la Grotte”, modlą się i wysłuchują  
licznych kazań i nauk. Od czasu do czasu rozchodzi się ra-  
dosna wieść o jakimś cudownym wyleczeniu. Ponad grotą  
wznosi się wspaniała bazylika, w której ciągle odprawiają  
się nabożeństwa.

**Wejście na piramidę.** W przedostatnim numerze  
Wieczorów, zakończył się dłuższy artykuł o Egipcie. Wspo-  
minaliśmy w nim, że kraj ten dzięki bardzo suchemu i zdro-  
wemu klimatowi, oraz wielkiemu nagromadzeniu cennych  
i ciekawych zabytków starożytnych, bywa nawiedzany w po-  
rze zimowej przez wielu turystów i podróżnych. Największą  
osobliwością Egiptu są bezwątpienia piramidy, te olbrzymie  
grobowce dawnych Faraonów. Zdaleka wydaje się, iż wejść  
na szczyt piramidy jest niepodobieństwem, tymczasem kra-  
wędzie ich są zębate i stanowią rodzaj wielkich schodów,  
utworzonych z piętrzących się głazów. Ale windowanie się  
po tych schodach, nie należy, jak widzimy z ryciny, do rzeczy  
nader łatwych i przyjemnych. Ludzie otyli lub niezręczni  
potrzebują w tem czynnej pomocy przewodników, lecz widok,  
jaki później oglądają i myśl, że byli na szczycie piramidy, so-  
wicie te trudy wynagradzają. Najwięcej piramid znajduje  
się w niższym Egipcie, na zachodnim brzegu Nilu, od Kairu  
do Fayum, największe zaś leżą w bliskości Memphisu i noszą  
nazwę piramid Gizeh. Są to grobowce króla Cheopsa (261  
łokci wysokości), Chefrena i Mycerina. Wzniesione zostały  
między 3500 a 2100 rokiem przed Nar. Chrystusa Pana.

---

## Niebo w listopadzie.

---

Wschód słońca w tym miesiącu opóźnia się codzien  
o jedną lub dwie minuty, a zachód przypada coraz wcześniej,  
w skutek czego długość dnia w dniu 1 listopada wynosiła 8½  
godzin, a 30 wynosić będzie 8 godzin za ledwie. W dniu tym  
wysokość słońca nad poziomem w południe dosięgnie za-  
ledwie 17°.

Pełnia księżycy przypada 28 listopada. Z planet Mars  
tylko przyświeca noc całą.

W tym miesiącu, dnia 13 — 15 i 27 spodziewać się na-  
leży wielkiej ilości gwiazd spadających, to jest właściwie me-  
teorytów, o których pisaliśmy obszernie w sierpniu.

---

Do dzisiejszego Numeru dołączamy prospekt Wieczorów na r. 1899.

---

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zfr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

---

**TREŚĆ:** Jesienią, wiersz (z ryc.) — Z dziejów cywilizacji przez Zofię Bukowiecką. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej  
ryby,” opisał H. C. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Nasze ryciny. — Niebo w listopadzie. — Dodatek: Ach! ten  
wicher (z ryc.). — Miesiące w roku, wiersz — Obrażalski. — U cioci Polci (z ryc.) — Dług wdzięczności, przez Zofię Rudni-  
cką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.



# WIECZORY RODZINNE

## Ach ten wicher!

Pan Prot jest rodzonym bratem pana Piotra — mogę wam na to słowem zaręczyć — jeżeli nie wierzycie.

Nie dziwię się jednak, że nie od razu mogliście w to uwierzyć.

Pan Piotr jest wysoki i cienki, bardzo cienki! Nosi długie sumiaste wąsy, stojącą czuprynę i jest zawsze upudrowany od stóp do głowy, bo trzeba wiedzieć, że pan Piotr jest właścicielem wiatraka, do którego, jak mówią, bardzo podobny, zwłaszcza, gdy swemi długimi rękami wymachiwać zaczyna.

Pan Prot kupiec, nie wysoki, okrągły, zupełnie do brata nie podobny. Co niedziela starannie się ubrawszy, z laską lub parasolem w jednej ręce, w drugiej trzyma na sznurku ulubionego pieska Trezorka do pana Piotra wyrusza.

Mieszkają oni od siebie niezbyt daleko: kupiec w samem mieście, młynarz pod miastem, na niewielkim wzgórku.

Pan Prot cały tydzień spędziwszy w sklepie z przyjemnością oddycha świeżem powietrzem i po drodze rozmawia z Trezorkiem.

Pies to maleńki z uszkami jak u osiołka, z najeżoną sierścią, jak u kolczatego jeża i z pyszczkiem cieniutkim jak u wiewiórki. Sierść ma brudno-żółtą i zielonkawę oczy; śliczny pies!... ale w tej małej psinie jest złote serce, nieoszacowany humor i niezmierny rozum.

Gdy idzie spokojnie z wysoko podniesionym łebkiem, to żaden konik arabski tak zgrabnie nie stąpa. Kogo tylko napotka, to go zaraz wita — haf.. haf.. To znaczy: dzień dobry panu lub pani.

Gdy spotka kilka osób, a zna je „haf,” powtarza aż cztery razy, co naturalnie oznacza: dzień dobry szanowni państwo.

Pan Prot idzie więc do brata. Z początku droga równiutka, więc idzie spokojnie i w doskonałym jest humorze. Ale, że wiatrak stoi na górze, a otyłym trudno wysoko się wspinać, więc zaczyna mruczeć i narzekać przed Trezorkiem, który znów lubi biegać.

Pomrukują więc obadwa, jeden gniewnie, drugi radośnie.

A pan Piotr stoi właśnie w tej chwili przed swoim młynem i oczekuje miłych gości.

— Witam braciszka, witam, a jakże tam zdrowie? Eh, widzę, że i pytać nie trzeba; braciszek zawsze doskonale wygląda.

Pan Prot zmęczony wysoką podróżą, sapiąc, zaczyna na tę „przekłętą” górę narzekać:

— Że też pan brat nie mógł się gdzie niżej pobudo-

wać. Żeby tak do kogo obcego, tobym tu nie wlaźł za wór złota.

— Dziękuję panu bratu za pocziwe serce — odpowiada młynarz — ale dziwno mi, że pan brat zrozumieć nie może mojego zawodu. Przecie wiatrak wysoko musi stać, aby miał jak najwięcej wiatru, którego przy ziemi niewiele.

Pan Piotr urażony troszkę, odpowiada, że i sam pan Piotr już na tym „wysokim” wietrze na wiatrakowe skrzydełko usechł.

Na to znowu młynarz dodaje, że pan Piotr za to utył pięknie i na wielkiego pana patrzy.

Po tych słowach bracia całują się serdecznie, bo choć sobie przymawiają, kochają się jednak naprawdę.

Piesek dostawszy się między młodych młynarczyków, przeróżne sztuki pokazuje.

Tak bywa co niedziela prawie, i w tę niedzielę więc jest tak samo. Z tą tylko różnicą, że pan Piotr, jak kania deszczu, oczekuje odrobiny wiatru, coby poruszył stojący od trzech dni młyn. Pan Prot znowu, który wiatru strasznie nie lubi, radby go trochę na wieczór odłożyć, gdy już do domu powróci. Po południu, gdy właśnie z Trezorkiem wraca, nagle zrywa się wiatr listopadowy.

Pan Piotr skacze w tej chwili z uciechy między worami zboża, a i pan Prot skacze także. Nie wiatr, ale wicher cały wyrwał mu z ręki parasol, porwał cylinder z głowy i rozwiewa czerwony fular na szyi.



Z rozpaczony wypuścił z ręki Trezorka, który co tchu leci za cylindrem pana.

Fruwają tu i inne cylindry, nawet piękny damski kapeluszek ze wstążkami, nawet szal i parasol jakiś.



Panowie i panie wyciągają ku swym rzeczom obie ręce, lecą, krzyczą; strach, jakie się robi zamieszanie.

Pan Piotr tymczasem stojąc w okienku swego wysokiego młyna, zaciera z radości ręce i mówi uśmiechnięty.

Oto miły, śliczny wiaterek!

A. Z.

## Miesiące w roku.

W styczniu śniegi i mróz ścisła,  
Każdy ciągnie do ogniska.  
Przyjdzie luty, gotuj buty,  
Bo nastaną, deszcze, słoty.  
A po lutym marzec spieszy.  
Kwiecień życie daje trawce;  
Gra pastuszek na ligawce;  
Maj zieleni łąki, drzewa;  
Już i słowik w krzakach śpiewa.  
Czerwiec daje dni gorące,  
Kosa brzęczy już na łące.  
W lipcu słońce zbyt doskwiera,  
Miód na lipach pszczołka zbiera.  
Sierpień zbożem ludzi darzy,  
Znój i praca dla żniwiarzy.  
W wrześniu owoc ciąży drzewu,  
Rolnik chodzi welle siewu.  
Ledwie minął piękny wrzesień  
Już październik, już i jesień.  
Już listopad listki zrywa,  
W polu ptasze już nie śpiewa.  
W grudniu rzekę kryją lody,  
A lud cieszy się na gody.

## OBRAŻAŁSKI.

Gdy Staś był jeszcze małym, obrażał się o wszystko, przy obiedzie siadając na wysokim krześle, za najmniejszą uwagę mamy odsuwał się od stołu i mówił patrząc z pod oka: „bo się oblażę,” a niechby się kto roześmiał, Staś w płacz uderzał i wtedy już na prawdę był obrażony. Rodzice często strofowali synka, ale jakoś nic nie pomagało; Staś rósł i z nim razem nieznośna obraźliwość.

Bracia umyślnie mu dogadywali, a on nie chciał się na tem poznać i często godzinami siedział sam jeden w kącie, nastroszony jak jeź, jak sowa napuszony, smutny był bardzo, ale i wielce nieprzyjemny.

— Co to za wielka figura — śmiały się inne dzieci — zaczepiać go nie można...

— Stasiu — mówiła mama — zapomnij o sobie, myśl o innych, to nie będziesz brał wszystkiego do siebie.

W szkole dokuczano Stasiowi, a on sam najwięcej był nieszcześliwy, bo nieraz już miał szczerą ochotę iść

się bawić, ale obraźliwość nie pozwalała i nudził się okropnie.

Aż razu pewnego byli w domu goście, dzieci wcześniej wypity herbatę, a potem grzecznie siedziały w swoim pokoju. Gdy wstano od stołu, mama zawołała chłopców i dała starszym winogron, a Stasiowi, ponieważ tych nie wystarczyło, jabłko. Staś lubił niezmiernie winogrona, zaraz więc bracia pomyśleli, że się obrazi, jabłko rzuci i pójdzie do swego kącika. Jakież było jednak ich zdziwienie, gdy chłopiec zaczerwieniony wprawdzie, ale spokojny, usiadł i jabłko jeść zaczął.

— Obrażalski!... — zawołał Tadzio...

— Cicho — rzekła mama — bądź dobrym bratem, trzeba mu owszem pochwalić, że chce się poprawić, i że pracuje nad sobą.

— Mamo! — zawołał Staś — już nie będę się nigdy obrażał, bo... bo... wczoraj przy obiedzie ciocia mówiła, że tylko niemądrzy obrażają się o drobnostki, a ja nie chcę być głupim!...

Czy uwierzycie? Staś zmienił się zupełnie.

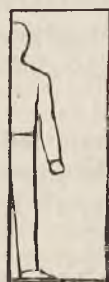
A. S.

## U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— I twój człowieczek ładny, jakżeś go zrobił? — zapytał Kazio.

— Złożyłem papier na pół (fig. 29) wyrysowałem figurkę i wyciąłem (fig. 30). A ty jak zrobiłeś drzewo?



(fig. 29)



fig. 30)

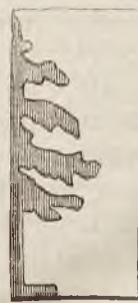


fig. 31)



fig. 32).

— I ja złożyłem papier na dwoje i próbowałem wyrysować drzewo, ale było takie sztywne, takie niepodobne do drzewa, że wziąłem kawałek zielonej bibuły, wyrysowałem parę linii, niby gałęzie, i zamiast wycinać nożyczkami, powydzierałem palcami (fig. 31 i 32).

— I to właśnie jest dobrze — rzekła ciocia.

— Na co ciocia przyniosła bilety? — spytała Zosia.

— Chcę wam pokazać jak się robi skaczącego pajaca, ale trzeba się spieszyć, bo już późno. Pajac jest złożony z siedmiu kawałków: głowa i tułów są z jednego kawałka dwa cale długiego, każda ręka z takiegoż kawałka także na dwa cale, a każda noga składa się z dwóch kawałków, jeden długi na cal a drugi krótszy na cal i ćwierć.

— Dla czego każda noga z jednej kawałki na jedną nogę? — zapytała Zosia.



— Bo nogi muszą się bardzo szybko poruszać — odpowiedziała ciocia.

Rozmierzyła bilet i narysowała delikatnie kontury każdej części z osobna, a potem je powycinała, zaokrągliła niektóre kawałki i nogi wykończyła.

— Czy ramiona trochę nie za długie? — spytał Henryś.

— Są trochę dłuższe w porównaniu z innymi częściami, ale zaraz zobaczysz dla czego.

— Jak będą przymocowane te różne kawałki?

— Tą mocną nitką, przyszyję obie ręce do ramienia.

Ciocia zrobiła najpierw węzełek na końcu nitki, przewlokła ją wpierw przez jedną rękę, potem przez tułów i przez drugą rękę i uciąła, zostawiając tylko tyle nitki, aby zrobić po drugiej stronie mocny węzełek. W ten sam sposób przymocowała nogi. Późem zrobiwszy dziurki u rąk, przeciągnęła przez nie cienki patyczek,

a dzieci zaczęły śmiać się i klaskać w ręce, gdy ciocia kazała pajacowi wykonywać różne ćwiczenia gimnastyczne na tym drążku, siadać na ziemi, skakać przez niego, wywracać nawet koziółki, wszystko z pomocą tych długich rąk (fig. 33).

— Jutro — rzekł Henryś — przyniosę farby i pomaluję tego pajaca

— Możemy teraz zrobić dla niego pokój, gdzieby sobie mógł odpocząć — zaprojektowała ciocia, na co dzieci z ochotą przystały.

Kazio powie nam co trzeba najpierw zrobić.

— Najpierw okno — zawyrokował Kazio.

Tymczasem ciocia wydobyła z szufladki kilka arkuszy kolorowego papieru i kazała Henrysowi uciąć kilka pasków brązowego koloru, pół calowej szerokości, aby z nich zrobić ramy do okna.

— A z czego będą szyby? — spytał Kazio.

— Z tego błado-niebieskiego papieru, tak, aby się wydawało, że widać błękit nieba przez okno.

(d. c. n.)



(fig. 33).

się na siodle, pochylił się do szyi końskiej, objął ją ramionami, przycisnął do niej głowę, i łzami szczęścia skropił jedwabną grzywę szlachetnego zwierzęcia. Wróciły mu siły. Wpław przebyli rzekę — i gdy obaj wyskoczyli na brzeg, Janek zwrócił się do swego przewodnika, chciał przemówić do niego i powiedzieć, że w domu wynagrodzą go sowicie, ale Tatar spojrzął na chłopca z niechęcią, zaciął jego konia batem, a swego zwrócił, wskoczył na powrót w rzekę — i popłynął ku przeciwnemu brzegowi. Zaledwie Janek mógł się opamiętać, że sam już został. Sam — ale u siebie...

Zeskoczył z konia, rzucił się na kolana i w upojeniu szczęścia, cisnął usta do wilgotnej, świeżo zoranej roli, nad którą szary skowronek trzepotał skrzydełkami, nuciąc radosną pieśń powitania...

\* \* \*

Zamek Starosty był od roku przeszło pokryty żalobą, — on sam nie wstawał już prawie z dużego, skórą obitego fotelu, blask życia z dniem każdym przygasał w oczach, które przysłonięte jakby mgłą i często wpatrzony w przestrzeń, zdawały się spoglądać nieprzytomnie. Czasem tylko zwiędłe usta starca poruszyły się i można było uchem złowić cichy szept: „Ostatni z rodu... tak marnie”!

Matka Janka nie mogła wypłakać łez wszystkich — było ich niewyczerpane źródło... Chociaż rano i wieczór ze łzami modliła się do Boga, dzień cały szklily się w jej oczach i zraszały wybladłe policzki. Siostrzyczka przybrana zaprzestała wesołych zabaw, przycichła i posmutniała, siadywała cicho z robótką w ręku u stóp swojej opiekunki. Dopóki byli razem, zdawało się, że nic tak bardzo nie łączy tych dzieci: — Janek wolał zabawy z rówieśnikami swymi, Hania wolne chwile spędzała w swoim ogródku, lub na drobnych usługach przy swej opiekunce.

Teraz w pierwszych chwilach, pod grozą strasznego wypadku nie zważano na nią, i nikt nie widział, że biedactwo przez kilka dni z rzędu nic nie jadło i po całych nocach spać nie mogło, aż się rozchorowało. Młode siły chorobę przetrwały, ale wesołość nie powróciła. Dotąd bezustannie słano posłów w kraje tatarskie — do Krymu, do Turcji, by odszukać chłopczynę, powziąć o nim jaką wiadomość, nadaremnie! — Nikt niczego dowiedzieć się nie mógł. I teraz oczekiwano wysłańców z Krymu, — chociaż tracono już nadzieję, by dobrą wieść przynieść mogli.

Upalny dzień lipcowy chylił się ku wieczorowi, cała natura zmęczona gorącem, zdawała się wypoczywać, ani listek nie poruszył się na drzewie, ani odgłosu żadnego słyhać nie było; cisza w naturze i cisza w zamku panowała. Pan Starosta siedział w swoim fotelu ze spuszczoną na piersi głową, niewiadomo: drzemał, czy tak pogrążony był w bolesnych myślach. Matka Janka, przy pomocy Hani, składała robotę, którą przez parę godzin poobiednich była zajęta. Wszedł pan Jakób, postarzały w przeciągu tego roku o lat kilka, z szeroką blizną na czole. Wszedł, i jakby dalej dostąpić nie śmiał, zatrzymał się nieopodal progu. Oboje, dziadek i matka, ocknęli się, a podnosząc głowy spojrzeli mu w oczy. Trzymał je

## DŁUG WYDZIĘCZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Dotąd sił mu starczyło, teraz zdawało mu się, że go opuszczają... zrobiło mu się mdło, szarawa mgła zasłaniała oczy. Uczuł brak życzliwej piersi, na którejby we łzach radości wylał szczęście swoje... Tatar był ponury, jakby niechętny włożonemu na siebie obowiązkowi ułatwienia mu ucieczki. Janek czując, że chwiele



spuszczone ku ziemi. Nikt z obecnych nie śmiał słowa przemówić. W końcu dziadek rzucił zmienionym głosem.

— Powrócili?

— Powrócili — była odpowiedź.

— I cóż?

Pan Jakób, ręce rozłożył, giestem pełnym zwątpienia, ale jakby w nich władzy nie miał, opadły mu, i zwiśły nieruchomie. Pan Starosta głowę odwrócił, oczy utkwily znowu martwo przed siebie i zapadł w ponure milczenie. Matce lzy drżały długo pod powiekami, spłynęły potem na główkę Hani, która objęła ją rączkami za szyję i przytuliła się do jej piersi. Nie pierwszy to był zawód pełen bolesnej goryczy w tym roku żałoby.

(d. c. n.)

### ZAGADKA.

Dla Żabiego Oczka od P. z P.

Ni to zwierzę ni człowiek,  
Ani rybka jaka,  
Ani owad też żaden,  
Ni gatunek ptaka.  
A jednak wiesz to sama,  
Że rusza się, żyje,  
Czyli jest nasze własne  
Czyli jest też czyje.  
I wszystko co na świecie  
Własnem ty poznajesz  
A jednak za nie własne  
Nam się dziś podajesz.  
Cóż więc całe  
Jest to małe?

### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

p. Stokrotkę z Sobolówki.

Z następujących sylab: Cea—gua—ka—kand—ka—lo—ny—ni—ni—pion—ri—ra—skor—va—ar—ya—y—zuar—zie—ułożyć 7 wyrazów, którychby pierwsze litery złożyły nazwę miejscowości gdzie zmarł ostatni z Jagiellonów. Znaczenie wyrazów: 1) Ptak z rodz. strusiów. 2) Miasto n. m. Śródziemnem 3) Miasto w Turkestanie. 4) Pająk jadowity. 5) Przylądek w Afryce. 6) Dopływ Amazonki. 7) Jezioro w Ameryce.

### ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

Wichura dla Żywili.

1. Spółgłoska.
2. Ptak śpiewający.
3. Miasto w Galicyi.
4. Roślina podobna do palmy z rodz. liliow.
5. Miasto nad. rz. Preglą.
6. . . . .
7. Imię męskie.
8. Miasto w Szwajcaryi.
9. Zwierzę ssące gruboskórne.
10. Rzeka wpadająca do m. Azowsk.
11. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery złożony powinny imię i nazwo znanego poety.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go

Szarady: Lis — to — pad.

### Łamigłównki sylabowej:

- 1) Kożuch. 2) Owce. 3) Niemen. 4) Rytygier. 5) Alleghany.
- 6) Dodatek.

Konrad — Henryk.

### Łamigłównki w trójkącie:

E g i p t  
G ó r a  
I d a  
P o  
T

### Skrzynka do listów.

Chociaż Skowronek z nad Warty czekał długo, aby się odezwać do nas, witamy go jednak mile, jako ptaszynę wielce nam ulubioną, i zachęcamy, aby ten pierwszy list rozpoczął stałą między nami korespondencyę i bliżej nas zapoznał. Donieś nam więc kochany Skowronku, jakie zamieszkujesz okolice, jakie ci zajęcie najmilsze, jaka najulubieńsza zabawa? Rozwiązanie dobre, ułożoną łamigłównkę przejrzymy.

Własnego układu łamigłównki i szarady nadesłali: Polska Różyczka, Czarny rycerz, Smok, Kotek i Myszka, Tadzio W., Anulka i Władzio Z.; dobre zaś rozwiązania: Kadłubek, Zygmunt O., Jaś i Staś, Smok, Giermek i Wajdelota.

Wesoła Trzpiotka nie myli się, że w redakcyi naszej znajdzie zawsze dobrą radę i chętną pomoc, to też prosbie jej w wyborze komedyjek pospieszymy w jaknajkrótszym czasie uczynić zadość. Wesołe twe usposobienie podoba nam się bardzo i nie wątpimy, że ono to właśnie jedna ci przyjaźń otaczających, bo zawsze milej jest patrzeć na uśmiechnięte, aniżeli smutne lub zasępione twarze. Życzymy więc szczerze, by ci jaknajdłużej słuszenie przynależała dziś tak odpowiednio dobrany pseudonym „wesolej”.

Tak jest Sokole, bardzo często niestety, pozory mylą, i przytoczone przez ciebie przyelowia; „Nie wszystko złoto, co się świeci” — „Nie każdy śpi, kto chrapi” są tylko więcej zuanemi z licznego szeregu innych, wypowiadających też samą myśl i radę zachowania pewnej ostrożności w przyjmowaniu pierwszych wrażeń. Nie należy wszakże posuwać tego zbyt daleko, byśmy nie popadli w przykrą nawet dla nas samych nieufność i podejrzliwość, ale niech rozważa i przezorność rozjaśniają zawsze drogi czynów i myśli naszych.

Anulce Z. Eukaliptus, jest rośliną drzewiastą, rosnącą w krajach o klimacie ciepłym, wilgotnym. Właściwą ojczyzną jego jest Australia, gdzie tworzy całe lasy, i gdzie wysmukły pień jego chociaż o miękkim i mało trwałem drzewie, stanowił jedyny materiał budowlany. Doświadczenie i nauka wykazały wszakże wielką użyteczność eukaliptusu pod względem zdrowotnym miejsc w których rośnie, gdyż obok tego, że spożytkowuje on nadmierną ilość wilgoci ziem bagnistych, aromatyczny a lotny olejek zawarty w liściach jego, posiada cenne własności lecznicze. Są też okolice we Francyi, np. w których febra i inne choroby zabijały mieszkańców, gdy dziś obsadzone eukaliptusami zmieniły najzupełniej dawne warunki.

Pseudonym Nieznośnego Chrabąszcza źle odpowiada twemu usposobieniu, nie może być nieznośnym, kto umie być rozsądnym i myśleć poctwie, a ze słów twego listu widzimy, że jedno i drugie da się do ciebie zastosować. Mamy nadzieję, że będąc stałym prenumeratorem i do liczby stałych korespondentów zaliczyć się zechcesz, a mamy ich kilku, którzy mieszkają nad brzegami tej samej co i ty wielkiej rzeki. Wydawnictwo *Złota przędza* jest na wyczerpaniu, można tylko nabyć całość z 4 tomów, cena rub. 20. bez przesyłki.